



Wielki Gatsby

FRANCIS SCOTT
FITZGERALD

*Wielki
Gatsby*

FRANCIS SCOTT FITZGERALD

Wielki Gatsby

Przekład: Arkadiusz Belczyk



Tytuł oryginału: ***The Great Gatsby***

Przekład: **Arkadiusz Belczyk**

Redaktor prowadzący: **Anna Willman**

Korekta: **zespół Wydawnictwa SBM**

Opracowanie graficzne: **Jacek Bronowski**

Projekt i opracowanie graficzne okładki: **Anna Witwicka**

Ilustracje na okładce: Anna Jaroń (główna),

Dreamstime.com: © Olga Lepeshkina, © Volodymyr Muliar, © Angela Cini

© Copyright for the Polish edition, cover and layout by Wydawnictwo SBM, 2022

Warszawa 2022



Wydawnictwo SBM Sp. z o.o.

ul. Sułkowskiego 2/2

01-602 Warszawa

www.wydawnictwosbm.pl

ISBN 978-83-8222-038-4

Spis treści

Rozdział 1	7
Rozdział 2	25
Rozdział 3	38
Rozdział 4	56
Rozdział 5	73
Rozdział 6	87
Rozdział 7	100
Rozdział 8	129
Rozdział 9	142

Więc jeśli to ją poruszy, kapelusz złoty załóż,
A jeśli umiesz skakać wysoko, to i skacz dla niej,
Aż zawoła: „Ty, co skaczesz w złotym kapeluszu,
Mój być musisz, kochanie!”

Thomas Parke D’Invilliers

Rozdział 1

Kiedy byłem młodszy i bardziej wrażliwy, ojciec udzielił mi rady, nad którą rozmyślałem po dziś dzień.

— Ilekroć poczujesz chęć, by kogoś skrytykować — rzekł — przypomnij sobie, że nie wszyscy ludzie na tym świecie mieli takie możliwości jak ty.

Nie powiedział nic więcej, ale ponieważ nigdy nie potrzebowaliśmy zbyt wielu słów, by się dobrze rozumieć, było dla mnie jasne, że chodzi mu o coś znacznie istotniejszego. W rezultacie staram się powstrzymywać od wszelkich osądów i nawyk ten wielokrotnie sprawiał, że otwierały się przede mną różne osobliwe natury, a nierzadko stawałem się też ofiarą potwornych nudziarzy. Umysł nienormalny szybko wykrywa tę cechę charakteru u człowieka normalnego i wyzyskuje ją — dlatego na studiach zdarzało się, że niesprawiedliwie oskarżano mnie o nie szczerość, kiedy poznawałem bolesne sekrety rozmaitych nieznanych mi bliżej utracjuszy. Zazwyczaj wcale tego nie chciałem — często wręcz udawałem, że śpię bądź jestem zajęty, czy też przybierałem pozę niezwykłego lekceważenia, gdy tylko się zorientowałem po nieomylnych znakach, że zanoszą się na intymne zwierzenia — u młodych mężczyzn są one bowiem, przynajmniej pod względem treści, z reguły wtórne i niekształcone oczywistymi zahamowaniami. Powstrzymywanie się od osądów wymaga nieskończonych pokładów nadziei. Wciąż boję się, że coś mi umknie, jeśli zapomnę, że — jak to snobistycznie ujął mój ojciec, a ja snobistycznie powtarzam — nie każdy otrzymał przy narodzinach takie samo poczucie fundamentalnej przyzwoitości.

Pochwaliwszy się tą moją tolerancją, muszę wszak przyznać, że i ona ma swoje granice. Czyjeś zachowanie może mieć oparcie w twardej skale lub grząskim bagnie, ale od pewnego momentu przestaje mnie to obchodzić. Kiedy zeszłej jesieni wróciłem ze Wschodniego Wybrzeża, pragnąłem świata, który by odtąd zawsze, niczym żołnierz, stał na baczność przed moralnością. Nie miałem już ochoty na burzliwe eskapady z przywilejem zaglądania w cudze serca. Nie dotyczyło to jedynie Gatsby'ego — człowieka, któremu ta książka zawdzięcza swój tytuł i który reprezentował sobą wszystko to, co budzi we mnie głęboką pogardę.

Jeśli na nieprzeciętną osobowość składa się nieprzerwany ciąg gestów przekonujących o sukcesie, to było w nim coś wspaniałego, jakaś szczególna czułość na obietnice życia, jakieś pokrewieństwo z tymi skomplikowanymi urządzeniami, które rejestrują trzęsienia ziemi odległe o dziesięć tysięcy mil. Wrażliwość ta nie miała nic wspólnego z ową wiotką receptywnością, której nadaje się dostojną nazwę „temperamentu twórczego” — był to niezwykle dar nadziei, romantyczna gotowość, jakiej nigdy nie spotkałem u nikogo innego i jakiej zapewne nigdy więcej nie spotkam. Nie, Gatsby, jak się ostatecznie okazało, był w porządku; moje zainteresowanie daremnymi ludzkimi żałami i krótkotrwałymi wzlotami zgąsło chwilowo tylko za sprawą tego, co żerowało na Gatsbym, tej chmury brudnego kurzu podążającej za jego marzeniami.

Moja rodzina — znana i zamożna — mieszka w tym mieście na Środkowym Zachodzie od trzech pokoleń. Carrawayowie tworzą swego rodzaju klan i wedle tradycji pochodzą od książąt Buccleuch, ale faktycznym założycielem rodu był brat mojego dziadka, który przybył tu w 1851 roku, wykupił się od służby wojskowej podczas wojny secesyjnej i założył hurtownię żelazną, którą dziś prowadzi mój ojciec.

Tego stryjecznego dziadka nigdy nie widziałem, ale podobno go przypominam — czego potwierdzeniem ma być cokolwiek surowy portret wiszący w gabinecie ojca. W 1915 roku, raptem ćwierć wieku po moim rodzicielu, ukończyłem studia w New Haven, a nieco później wziąłem udział w tej spóźnionej migracji teutonów, którą nazwano Wielką Wojną. Tak bardzo spodobało mi się ich odpieranie, że po powrocie nie mogłem

usiedzieć w spokoju. Środkowy Zachód nie jawił mi się już jako przytulne centrum świata, lecz jako obszarpane peryferie — dlatego postanowiłem wyjechać na Wschód i nauczyć się handlu papierami wartościowymi. Zajmowali się tym wszyscy moi znajomi, uznałem więc, że dla jeszcze jednego samotnego mężczyzny też znajdzie się tam jakaś praca. Wszystkie moje ciotki i wujowie dyskutowali o tym, jakby chodziło o wybranie dla mnie prywatnej szkoły, by wreszcie z poważnymi minami i wahaniem w głosie, oznajmić: „No dobrze...” Ojciec zgodził się utrzymywać mnie przez rok, ale wyjazd z różnych przyczyn kilkakrotnie się opóźnił. W końcu jednak wiosną 1922 roku przybyłem na Wschód — na stałe, jak sądziłem.

Najpraktyczniej byłoby znaleźć mieszkanie w mieście, ale jak na tę porę roku było ciepło, a ja dopiero co opuściłem krainę rozległych trawników i przyjaznych drzew, kiedy więc pewien młodzieniec z biura zaproponował mi wspólne wynajęcie domu na przedmieściach, uznałem to za świetny pomysł. Znajomy ów znalazł pokieroszowany przez żywioły domek o ścianach jak z tektury, za osiemdziesiąt dolarów miesięcznie, ale w ostatniej chwili firma wysłała go do Waszyngtonu, wskutek czego zamieszkałem tam sam. Miałem psa — przynajmniej przez kilka dni, dopóki nie uciekł — miałem starego dodge'a i fińską gosposię, która ścieliła mi łóżko, robiła śniadanie i mamrotała fińskie mądrości nad elektryczną kuchenką.

Spędziłem samotnie dzień czy dwa, aż pewnego ranka zagadnął mnie na drodze jakiś mężczyzna, przybyły tu później ode mnie.

— Jak się dostać do West Egg? — zapytał bezradnie.

Wyjaśniłem mu. I kiedy ruszyłem dalej, nie byłem już samotny. Stałem się przewodnikiem, tropicielem, pierwszym osadnikiem. Ów przypadkowo napotkany człowiek uczynił ze mnie mieszkańca tej okolicy.

Słońce świeciło coraz mocniej, drzewa błyskawicznie okrywały się liśćmi, które rosły niemal w oczach, jak na przyspieszonym filmie, a mnie ogarnęło znajome przeświadczenie, że z nadejściem lata życie zaczyna się od nowa.

Przed wszystkim zamierzałem dużo czytać i korzystać dla zdrowia z ożywczego świeżego powietrza. Kupiłem kilkanaście tomów poświęconych bankowości, kredytom i inwestycjom, które lśniły na mojej

półce czerwienią i złotem niczym nowe pieniądze z mennicy, obiecując ujawnić tajemnice znane tylko Midasowi, Morganowi i Mecenasowi. Postanowiłem też przeczytać wiele innych książek. Na studiach paralem się trochę pisarstwem — przez rok tworzyłem pompatyczne i mało oryginalne wstępniaki do „Yale News” — i teraz chciałem przywrócić to wszystko mojemu życiu, by znów stać się tym najbardziej ograniczonym ze wszystkich specjalistów — „człowiekiem wszechstronnym”. I nie jest to li tylko błyskotliwe sformułowanie — życie najlepiej wszak oglądać z jednego okna.

Czysty przypadek sprawił, że wynająłem dom w jednej z najdziwniejszych społeczności Ameryki Północnej. Powstała ona na tej smukłej, rozbrykanej wyspie, która rozciąga się na wschód od Nowego Jorku i gdzie prócz różnych innych osobliwości przyrodniczych można znaleźć dwie niezwykle formacje skalne. Dwadzieścia mil od miasta, w najbardziej udomowione słone wody na półkuli zachodniej, w to wielkie mokre podwórko cieśniny Long Island, wrzyna się para olbrzymich jaj identycznego kształtu, rozdzielonych jedynie niedużą zatoką. Nie są idealnie owalne — tak jak jajko z anegdoty o Kolumbie oba mają spłaszczony spód — ale ich fizyczne podobieństwo musi wprowadzać krążące powyżej mewy w bezustanną konfuzję. Dla istot bezskrzydłych bardziej fascynująca jest ich odmienność pod każdym innym względem niż kształt i wielkość.

Mieszkałem w West Egg — co tu dużo mówić, mniej gustownym z tej pary, choć stwierdzenie to tylko w najbardziej powierzchowny sposób opisuje przedziwny, wręcz złowieszczy kontrast między obu skalnymi jarami. Mój dom stał na samym czubku, zaledwie pięćdziesiąt jardów od wody, wciśnięty między dwie olbrzymie posiadłości, które wynajmowano na sezon za kilkanaście tysięcy dolarów. Ta po prawej, pod każdym względem gigantyczna, była wierną repliką jakiegoś normandzkiego ratusza, z nowiuteńką wieżą po jednej stronie, ledwo co pokrytą zarostem świeżego bluszczu, z marmurowym basenem i ponad czterdziestoma akrami trawników i ogrodów. Była to rezydencja Gatsby’ego. A ściślej, ponieważ nie znałem pana Gatsby’ego, była to posiadłość zajmowana przez jakiegoś

dżentelmena o tym nazwisku. Mój nędzny domek wyglądał szkaradnie, ale był na tyle mały, że go nie zauważano, mogłem się więc cieszyć widokiem na morze i częściowo na trawnik sąsiada, tudzież bliskością milionerów — a wszystko to za osiemdziesiąt dolarów miesięcznie.

Po przeciwnej stronie zatoki lśniły nad wodą białe pałace modnego East Egg, a historia owego lata tak naprawdę zaczyna się tego wieczoru, gdy pojechałem tam na kolację do Buchananów. Daisy była moją daleką kuzynką, Toma znałem zaś ze studiów. Tuż po wojnie spędziłem z nimi dwa dni w Chicago.

Mąż Daisy odznaczał się wielką sprawnością fizyczną, swego czasu zaliczano go do najlepszych futbolistów w drużynie uniwersyteckiej z New Haven i stał się kimś w rodzaju bohatera narodowego, jednym z tych ludzi, którzy w wieku dwudziestu jeden lat osiągają w wąskiej dziedzinie taką doskonałość, że wszystko później już tylko ich rozczarowuje. Rodzina Toma była niezmiernie bogata — nawet na studiach wyrzucano mu, że szasta pieniędzmi — a kiedy się przeniósł z Chicago na Wschód, uczynił to z rozmachem, który wprost zapierał dech — na przykład sprowadził z Lake Forest całe stado kucyków do gry w polo. Aż trudno było uwierzyć, że ktoś z mojego pokolenia stać na coś takiego.

Dlaczego przyjechali na Wschód, nie wiem. Wcześniej, bez żadnego szczególnego powodu, spędzili rok we Francji, a potem pomieszkiwali krótko tu i tam, w różnych miejscach, gdzie grywano w polo i wszyscy byli bogaci. Tym razem, jak mi powiedziała Daisy przez telefon, przenieśli się na stałe, ale nie uwierzyłem w to. W jej serce zajrzeć nie potrafiłem, czułem natomiast, że Tom nigdy nigdzie nie osiadzie, wciąż gnany tęsknotą za dramatyzmem futbolowych zmagania, które bezpowrotnie odeszły w przeszłość.

I tak się złożyło, że pewnego ciepłego, wietrznego popołudnia pojechałem do East Egg, by odwiedzić dwoje starych znajomych, których w gruncie rzeczy prawie wcale nie znałem. Ich dom — wesoła czerwono-biała rezydencja w kolonialnym stylu georgiańskim, z widokiem na zatokę — był jeszcze bardziej okazały, niż się spodziewałem. Ku frontowym drzwiom biegł przez ćwierć mili od plaży trawnik upstrzony

zegarami słonecznymi, ceglanymi ścieżkami i gorejącymi klombami, który, gdy wreszcie dotarł do domu, jakby z rozpędu wspinał się po nim jasnymi pnączami. Fasadę przerywał ciąg oszklonych drzwi, lśniących teraz odbitym złotem i otwartych na oścież w ten ciepły, wietrzny wieczór, na werandzie zaś stał na szeroko rozstawionych nogach Tom Buchanan w stroju do konnej jazdy.

Zmienił się od czasów New Haven. Był teraz krzepkim mężczyzną po trzydziestce, o włosach koloru słomy, dość mocno zarysowanych ustach i wyniosłej postawie. W jego twarzy dominowała para błyszczących, aroganckich oczu, przez które sprawiał wrażenie, jakby wciąż pochylał się agresywnie do przodu. Nawet lekko kobiecy szyk stroju do konnej jazdy nie był w stanie ukryć olbrzymiej siły tego ciała — łydki tak bardzo rozpychały cholewki lśniących butów, że wydawało się, iż sznurówki lada moment pękną, a gdy poruszał ramieniem, pod cienką kurtką widać było przesuwające się potężne mięśnie. Było to ciało zdolne do ogromnego wysiłku — ciało okrutne.

Ton jego głosu — szorstki, ochryple tenor — potęgował wrażenie nastliwości. W jego sposobie mówienia była jakaś nuta protekcyjnej pogardy, nawet w stosunku do ludzi, których darzył sympatią, dlatego w New Haven niektórzy wręcz go nie znosili. Zupełnie jakby chciał powiedzieć: „Nie myśl, że moja opinia na ten temat jest najważniejsza tylko dlatego, że jestem silniejszy i bardziej męski od ciebie”. Należeliśmy do tego samego bractwa studenckiego i choć się nie przyjaźniliśmy, zawsze mi się wydawało, że mnie akceptuje i na ten swój opryskliwy, zaczepny sposób pragnie, żebym go lubił.

Przez kilka minut rozmawialiśmy na skąpanej w słońcu werandzie.

— Ładnie tu — powiedział, rzucając wokół niespokojne spojrzenia. Ujął mnie za ramię, obrócił i szeroką, płaską dłońią przesunął po rozciągającej się przed nami panoramie, która obejmowała nisko usytuowany włoski ogród, pół akra intensywnie pachnących róż i motorówkę z zadartym dziobem, podskakującą przy brzegu na falach przypływu.

— To należało do Demaine’a, tego nafciarza. — Znów mnie obrócił, grzecznie, acz gwałtownie. — Wejdźmy do środka.

Wysokim holem przeszliśmy do jasnej, różowej przestrzeni, subtelnie wkomponowanej w budynek szklanymi drzwiami w przeciwniejszych ścianach. Drzwi były szeroko otwarte i lśniły bielą na tle soczystej trawy, która zdawała się nieomal wkraczać do pomieszczenia. Delikatny przeciąg po jednej stronie wydymał zasłony do środka, po drugiej zaś na zewnątrz, niczym spłowiące flagi, podwijając je ku sufitowi zdobionemu na podobieństwo lukrowanego weselnego tortu — a dalej, na dywanie koloru wina, tworzył drobniutkie zmarszczki i cienie jak bryza na powierzchni morza.

Jedynym zupełnie nieruchomym przedmiotem w pokoju była olbrzymia sofa, na której, niczym na uwiązany balonie, kołysały się dwie młode kobiety. Ich białe sukienki marszczyły się i trzepotały, jakby dopiero co wylądowały tu po krótkim locie wokół domu. Stałem przez dłuższą chwilę, wsłuchując się w furkot zasłon i jęk obrazu na ścianie. Potem rozległ się trzask zamykanych przez Toma Buchanana drzwi z tyłu domu; złapany w pokoju wiatr ucichł, a zasłony, dywany i obie młode kobiety powoli opadły na podłogę.

Młodszej z nich nie znałem. Leżała wyciągnięta na końcu sofy, zupełnie nieruchomo, z lekko uniesioną brodą, jakby próbowała na niej utrzymać coś, co w każdej chwili może spaść. Jeśli nawet mnie dostrzegła kątem oka, nie okazała tego w żaden sposób — ja zaś byłem tak zaskoczony, iż o mało nie wymamrotałem przeprosin za to, że jej przeszkadzam swym przybyciem.

Druga kobieta, Daisy, próbowała wstać — pochyliła się lekko do przodu ze skupionym wyrazem twarzy, po czym nagle się zaśmiała, absurdalnie, czarująco, na co ja też się roześmiałem i podszedłem do niej.

— Sparaliżowało mnie ze szczęścia.

Znów się roześmiała, jakby powiedziała coś bardzo dowcipnego, i przez chwilę trzymała mnie za rękę, patrząc mi prosto w twarz, a jej spojrzenie zdawało się mówić, że nikogo na świecie nie pragnie widzieć bardziej. Taka właśnie była. Ściszone głosem przekazała mi, że dziewczyna z uniesioną brodą ma na nazwisko Baker. (Niektórzy twierdzili, że Daisy celowo tak szepcze, by się ku niej nachylando, ale ta niesprawiedliwa opinia ani trochę nie odbierała jej wdzięku).

Usta panny Baker drgnęły, prawie niedostrzegalnie skinęła mi głową, po czym szybko odchyliła ją na powrót do tyłu — to coś, co balansowało na jej brodzie, najwyraźniej zachybotało się lekko i wystraszyła się. Znów poczułem, że powinienem ją przeprosić. Wszelkie przejawy pełnej samowystarczalności z reguły budzą we mnie zdumienie i podziw.

Ponownie spojrzałem na moją kuzynkę, która swym niskim, fascynującym głosem zaczęła mi zadawać pytania. Był to ten rodzaj głosu, za którym ucho podąża z uwagą, odbierając każde wypowiedziane zdanie jak melodię, której już nikt nigdy więcej nie zagra. Błyszczące oczy i błyszczące, zmysłowe usta rozświeślały jej smutną, śliczną twarz, w głosie zaś pobrzmiwała jakaś ekscytująca nuta, na długo zapadająca w pamięć mężczyznom, którym Daisy nie była obojętna: zniewalająca śpiewność, ciche: „Słuchaj”, sugestie, że właśnie zajmowała się czymś radosnym i podniecającym, a najbliższa godzina zapowiada się równie radośnie i podniecająco.

Powiedziałem jej, że w drodze na Wschód zatrzymałem się na jeden dzień w Chicago i kilkanaście osób kazało mi ją pozdrowić.

— Tęsknią za mną? — zawołała w uniesieniu.

— Całe miasto rozpacza. Wszystkie samochody mają lewe tylne koło pomalowane na czarno jak wieniec żałobny, a nad jeziorem przez całą noc słyszać płacz.

— Niesamowicie! Wróćmy tam, Tom. Jutro! — Potem dodała bez związku: — Powinieneś zobaczyć naszą córeczkę.

— Chętnie.

— Teraz śpi. Ma dwa lata. Nigdy jeszcze jej nie widziałeś?

— Nie.

— Cóż, musisz ją zobaczyć. Jest...

Tom Buchanan, który kręcił się niespokojnie po pokoju, przystanął i położył mi dłoń na ramieniu.

— Czym się zajmujesz, Nick?

— Handluję obligacjami.

— U kogo?

Powiedziałem mu.

— Nigdy o nich nie słyszałem — oznajmił stanowczo.

To mnie zirytowało.

— Usłyszysz — odparłem krótko. — O ile zostaniesz na Wschodzie.

— Och, zostanę, nie martw się — powiedział, zerkając na Daisy, a potem znów na mnie, jakby czekał na coś więcej. — Byłbym głupcem, gdybym się przeniósł gdzieś indziej.

W tym momencie panna Baker zawołała: „Właśnie!” — tak niespodziewanie, że aż się wzdrygnąłem. Było to pierwsze słowo, jakie wypowiedziała, odkąd wszedłem do pokoju. Najwyraźniej zaskoczyło ją tak samo jak mnie, ponieważ ziewnęła i kilkoma szybkimi, zgrabnymi ruchami podniosła się z sofy.

— Zesztywniałam — poskarżyła się. — Już nawet nie pamiętam, jak długo tu leżę.

— Nie patrz na mnie — odparła Daisy. — Przez całe popołudnie próbuję cię wyciągnąć do Nowego Jorku.

— Nie, dziękuję — powiedziała panna Baker na widok czterech koktajli, które właśnie wniesiono do salonu. — Muszę bezwzględnie trenować.

Gospodarz spojrział na nią z niedowierzaniem.

— Te twoje treningi! — Wypił drinka, jakby to była kropla na dnie kieliszka. — Nie pojmuję, jakim cudem udaje ci się cokolwiek załatwić.

Spojrzałem na pannę Baker, zastanawiając się, co też takiego „załatwiła”. Przyglądałem jej się z przyjemnością. Była szczupłą dziewczyną o niedużych piersiach i wyprostowanej sylwetce, którą podkreślała jeszcze, odciągając do tyłu ramiona niczym młody kadet. Jej szare, zmrużone od słońca oczy w bladej, uroczej i niezadowolonej twarzy uprzejmie odwzajemniały moją ciekawość. Przyszło mi do głowy, że gdzieś już widziałem albo ją samą, albo jej zdjęcie.

— Mieszka pan w West Egg — stwierdziła ze wzgardą. — Znam tam kogoś.

— Ja nie znam nikogo.

— Musi pan znać Gatsby’ego.

— Gatsby’ego? — zainteresowała się Daisy. — Jakiego Gatsby’ego?